№ 36. Warszawa, dnia 27 Sierpnia (8 Września) 1888 roku.




Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

**W Warszawie** rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs.3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie, rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

## HISTORYCZNY POCAŁUNEK.

EPIZOD Z ŻYCIA SŁAWNEGO POETY.

PRZEZ

M. Niemitrę.

Wieczorem dnia 5 Lutego 1743 roku w pysznie oświetlonych salonach księżny de Villars, wdowy po sławnym marszałku, zebrało się nieliczne, lecz dobrane towarzystwo, złożone z osób należących do najwyższej arystokracyi. W gronie tego wysokiego świata i dworu, znalazło się też kilku mężów nauki, korzystających z zaproszenia wysoce wykształconej gospodyni domu; między innemi znajdował się tam także akademik, inteligentny uczony de Boze. Wszyscy przyszli, gdyż oczekiwała ich nadzwyczajna przyjemność: czytanie najnowszej tragedyi, równie sławnego wówczas, jak okrzyczanego autora Voltaira.

Dzieło o które chodziło, było „Merope" i łatwo sobie wyobrazić zaciekawienie wszystkich obecnych, tembardziej, że wiadomem było, iż poeta spodziewał się przez tragedyą tę otrzymać miejsce opróżnione po niedawno zmarłym akademiku, kardynale de Fleury, aby zostać członkiem sławnych „Czterdziestu". Najbardziej jednak zaciekawioną była sama opiekująca się autorem, księżna, gdyż podług jej planu miał to być rodzaj próby, jak tragedya ta będzie przyjętą wszerszych kołach publiczności, w przedstawieniu na scenie teatralnej.

Z tego też powodu światła ta dama zaprosiła nie samych przyjaciół Voltaira, ale przeciwnie, między zebranemi gośćmi znajdowało się kilku, którzy mniej lub więcej należeli do przeciwników poety, gdyż księżna słusznie sądziła, że zdanie przeciwników należy w danym razie wyżej cenić, niż zdanie przyjaciół.

Obecni przeciwnicy, do których należeli głównie książę de Bohan i akademik de Boze, byli znani jako prawi i zacni mężowie, którzy rzeczywistych zasług ze względów prywatnych, lub chęci przygany, nie byliby w stanie uszczuplić. Prócz tego, księżna, która widziała powstanie każdej pojedyńczej sceny „Merope", była tak zachwyconą pięknością tragedyi, że nie wątpiła o powodzeniu takowej, nawet u przeciwników swego przyjaciela.

Zdania szlachetnej, rozumnej opiekunki poety nie podzielali w równym stopniu inni przyjaciele jego, gdyż Voltaire, podług ich zdania popełnił w swojej „Meropie" wielki błąd: zrzekł się motywu miłości, uważanego za konieczny w każdej teatralnej sztuce, zastępując go innemi ludzkiemi namiętnościami, nienawiścią i zemstą, naturalnie kreśląc takowe z niezwykłą siłą. Język tej dramatyczno pysznie zbudowanej tragedyi był nieskazitelnie piękny, pojedyncze sceny z cudownie porywającą prawdą nakreślone, ogólne wrażenie prawdziwie dramatyczne, lecz brak motywu miłości wydawał się łaknącym „miłości" francuzom jako dziwotwór i podług ich mniemania pozostawało to ważną kwestyą, czy same wyżej wspomniane zalety będą w stanie zapewnić sztuce powodzenie.

Oprócz tego Voltaire był wówczas bardziej nienawidzony niż podziwiany. Wierszem swoim *Świątynia gustu* targnął się na najsławniejszych poetów swojego czasu i uczynił ich swoimi nieprzejednanymi wrogami; przez osławioną zaś *Dziewczynę Orleańską* stał się strachem i odrazą całego duchowieństwa. Nadto był też pod względem politycznym dość podejrzaną osobistością. Ośmielił się w młodości swej, napisać na regenta księcia Filipa Orleańskiego, który panował w zastępstwie małoletniego Ludwika XV, paszkwil za który został wydalony z Paryża.

Wkrótce został ułaskawiony i wolno mu było powrócić do stolicy, ale niebawem znowu popadł w niełaskę przez napisanie nowego łacińskiego paszkwilu. Osadzony więc został w Bastilli, zkąd dopiero po roku go wypuszczono. Ale na Voltaira wszystkie te doświadczenia mało działały. Ledwo oswobodzony i nawet do łask książęcych przywrócony, wmieszał się do pewnej intrygi dworskiej, za co powtórnie został wydalony ze stolicy. Nie było więc nic dziwnego, że postępowaniem takiem naraził się na niełaskę dworu i ulubieńców dworskich. Jeden z tych ostatnich, Chevalier de Rohan-Chabot, szukał zaczepki, a że Voltaire zarozumiałość tego wysoce arystokratycznego pana na-

leżycie odpalił, przeto ten kazał służbie swej znienacka napaść na poetę i zbić go na kwaśne jabłko. Napróżno, po tym niegodziwym czynie wzywał Voltaire pomocy sądów, w celu ukarania pana de Rohan. Lecz nie uzyskał takowego. Panowie Bohan byli możną, rozgałęzioną rodziną arystokratyczną, a Voltaire tylko mieszczaninem *). Jeżeli takowy sobie „za wiele" względem arystokraty pozwalał, wtedy napomnienie takie uważano za bardzo słuszne. Pewien wysoki urzędnik ośmielił się otwarcie powiedzieć:

— Byłoby bardzo źle, gdyby poeci nie mieli grzbietu.

Tego zdania były widocznie i sądy, poeta zatem nie uzyskawszy sprawiedliwości, sam sobie takową postanowił wymierzyć i wyzwał napastnika na pojedynek. Chevalier na wezwanie to nie odpowiedział wcale, a Voltaire został za staraniem rodziny Rohan osadzony w Bastilli, z której dopiero po zobowiązaniu opuszczenia kraju został uwolniony i skutkiem tego udał się do Anglii. Przez trzy lata pozostawał tam i kiedy nareszcie za staraniem jego przyjaciół dozwolono mu wrócić, znów w nieprzyjemny sposób zwrócił na siebie uwagę, wierszem napisanym na cześć nagle zmarłej artystki, Adryanny Lecouvreur, której nie chciano na cmentarzu pochować.

Wszedł także w nowe nieporozumienie z rządem przez wydanie najświeższego swego dzieła: „Lettres philosophiques", które wkrótce po ukazaniu się spalono publicznie.

Od czasu wszystkich tych wypadków minęły lata i usposobienie przeciw poecie pozostało bez zmiany. Przychylne zatem przyjęcie „Merope" przez publiczność było bardzo wątpliwem.

Przy takim stanie rzeczy, mały, brzydki, przez ospę oszpecony poeta rozpoczął czytanie swego dzieła. Po niezgrabnym ukłonie, przed wysoką, w półkole przed nim siedzącą publicznością i krótkiem objaśnieniem sytuacyi i występujących osobistości, rozpoczął czytanie.

Poeta czytał dobrze, miał przyjemny, giętki organ i posiadał talent deklamatorski w wysokim stopniu. Wszyscy też przysłuchiwali się początkowo w milczeniu, ale z uwagą, w dalszym zaś ciągu, w miarę rozwijania się akcyi dramatycznej wzrastało zajęcie dochodzące niemal do zachwytu.

Nikt nie spostrzegł brakującego motywu miłości, nikogo nie raził brak miłosnych przysiąg, westchnień i skarg, a gdy skończyło się czytanie, huczne oklaski przyjaciół i wrogów nagrodziły poetę, nieprzypuszczającego podobnego dla swej pracy uznania.

Głęboko wzruszony książę de Rohan, krewny owego nieprzyjaźnie dla Voltaira usposobionego kawalera de Rohan-Chabot, uściskał rękę poety mówiąc:

— Uważaj mnie pan od dziś za swego najszczerszego przyjaciela i zwolennika jego talentu.

De Boze zaś, który utrzymywał przedtem, że Voltaire nie będzie nigdy akademikiem, powiedział mu:

— Zaiste, jesteś wielkim człowiekiem i akademicy będą się chlubić, licząc pana do swojego grona.

Księżna de Villars uśmiechnęła się z zadowoleniem, plan jej udał się w zupełności, ogólne uznanie było pewną rękojmią przychylnego przyjęcia „Merope" w teatrze.

W dwa tygodnie później, dnia 20 Lutego, odbyło się pierwsze publiczne przedstawienie i wszyscy kto tylko liczył się do wykształconego świata, dążył do teatru, gdyż wieść o świetnem powodzeniu, które sztuka ta miała w salonach księżnej de Villars, rozniosła się lotem błyskawicy.

Voltaire sam siedział w głębi loży księżny i drżąc ze wzruszenia patrzył z wielką trwogą na zbierającą się coraz liczniej publiczność.

Napróżno księżna i jej synowa starały się dodać mu odwagi, im bardziej zbliżała się chwila rozpoczęcia widowiska, tym bardziej tracił nadzieję w przychylne przyjęcie swego dzieła. Znał przecież wielogłowy dziwotwór, nazywający się publicznością, znał jego niezbadane grymasy, czyż więc mógł spodziewać się, że będzie lepiej zrozumiany jego „Merope" i sprawiedliwie osądzony niż prace dawniejsze z wielkiem uczuciem dokonane.

Wtem wzniesiono kurtynę i przedstawienie rozpoczęło się.

Pierwsze sceny, cały pierwszy akt przeszedł i ani jedna ręka nie podniosła się do oklasku. Voltaire wcisnął się jeszcze bardziej w najciemniejszy kąt loży, zimny pot wystąpił mu na czoło i zrozpaczony miał już zamiar teatr opuścić, zaledwie zdołano go uspokoić.

Rozpoczął się akt drugi, publiczność zaczęła się ożywiać, dały się słyszeć oznaki ogólnego zadowolenia i Voltaire odetchnął swobodniej.

Gdy w następnych aktach oklaski się bardziej wzmagały, oczy poety zaiskrzyły się radością i z uśmiechem szczęścia dziękował księżnie i przyjaciołom, którzy przyszli do loży winszować mu powodzenia. Nastąpił akt ostatni i grzmiące, nieustające okrzyki zachwytu rozległy się po salach teatru.

— Autor! monsieur de Voltaire! autor! autor! — wołano powszechnie przy wielkich oklaskach.

Marszałkowa i piękna jej synowa wyciągają oszołomionego szczęściem poetę z jego kąta i wyprowadzają na przód loży. Zakłopotany, z bijącem sercem stoi szczupły, mały człowieczyna między temi dwiema pięknemi kobietami, kłaniając się i dziękując na wszystkie strony. Wtem rozlega się donośny głos z parteru:

— Księżno de Villars, pocałuj go!

I jak gdyby tylko czekano tego sygnału ogólnego życzenia, zawołano ze wszystkich stron:

— Pocałuj go, piękna księżno, pocałuj go w imieniu całej Francyi!

I piękna młoda dama, niemogąc się żądaniu temu oprzeć, choć z widocznem zakłopotaniem objęła pięknem swem białem ramieniem szyję brzydkiego poety i jako przedstawicielka całej Francyi, złożyła z czarującym wdziękiem pocałunek na jego twarzy.

Było to odznaczenie honorowe, którego żaden poeta przed ani po nim nie otrzymał: był to historyczny pocałunek.

„Merope" doczekała się po tem pierwszem, jeszcze czterdziestu czterech szybko po sobie następujących przedstawień. Jednak Voltaire nie dosięgnął jeszcze wtedy, stosownie do swego życzenia, sławy zostania członkiem akademii. Dopiero w roku 1746, mała farsa „Księżniczka Navarry", napisana z powodu zaślubin następcy tronu z hiszpańską księżniczką, wyrobiła Voltairowi dawno upragnioną katedrę akademii, mianowanie go historiografem Francyi i królewskim kamerjunkrem. Choć uzyskanie tak gorąco upragnionego tytułu bardzo uszczęśliwiało poetę, nie mógł się jednak powstrzymać od szyderstwa; że nieznacznej farsie ma do zawdzięczenia tytuł członka akademii.

*) Choć podpisywał się de Voltaire, jednak nazwisko to było tylko przybranem. Właściwie nazywał się François Marie Arouet.

---

# PRZESILENIE.

PRZEZ

*Maryę Napieralską.*

(Dalszy ciąg.)

List od mamy — zawołałam z najżywszą niecierpliwością.

— Służę pani — odrzekł najgrzeczniej! — Przepraszam zarazem za przybycie moje tak nie na czasie, lecz pośpiech tłomaczy mnie. Jutro rano wyjeżdżam z powrotem. Co mam zawieźć mamie pani?

Nie pomyślałam, że człowiek ten przyniósł m może wspomnienie Wólki, woń sosnowego lasu ostatni dźwięk fujarki pastuszej, może nawet jaki pożółkły listek ogrodu. Ale przebiegło to tylko lotem błyskawicy przez rozmarzoną głowę, ginąc natychmiast w blaskach i szmerach płynących z wielkiej sali.

— Żałuję mocno — rzekłam, rzucając się na fotel i wskazując na poblizkie krzesło — żałuję nie mogąc napisać zaraz do mamy, za pośrednictwem pana. Nie mogę... — i nie kończąc zaczętego frazesu, pogoniłam wzrokiem przez barwny kobierzec cieplarni do drzwi wejścia.

— Ograniczę się więc na oznajmieniu mamie o chęciach córki. Niekiedy, muszą one wystarczyć za uczynek, zwłaszcza jeśli bal nie pozostaje bez udziału w tej kwestyi. Powiem jej o zabawie pani, o tem mniej więcej co widzę, ale czy od siebie, wyraźnie od siebie nie ofiaruje pani nic dla niej?

Z roztargnieniem rozsuwałam wachlarz, jak gdyby upatrując na jego białej powierzchni, wyrazu, godnego do przesłania mej matce. Po raz pierwszy dopiero zabrakło mi treści w tej mierze. Niezności ten Sokoł! To on pragnie ode mnie słów, jakie przecież trzebaby zakomunikować z większym spokojem. Byłażem zdolna do tego? On wpatruje się we mnie temi oczami niezgłębionemi jak przepaście. Mówi tak zwolna, z brzmieniem głosu drażniącem, a chłodnem. Zawsze to ten sam niepozorny, brunatny Sokoł.

— Mój Boże! — zawołałam — sama nie wiem co powiedzieć?

— Myśli znać rozbiegły się na podobieństwo motyli — dokończył z uśmiechem, jaki nagle znikł w zakrętach tych nienawistnych dla mnie bakach.

— Motyli? — powtórzyłam. — Czy to pan mówi w znaczeniu płochości?

— Raz jeden tylko odważyłem się wypowiedzieć moje myśli, pamięta pani, w ten wieczór w Wólce, kiedy pannę Annę pasowano na dorosłą pannę.

— Nie spodziewałam się, aby to przypomnienie wywołało przyjemność dla pana.

— Zkąd ten wniosek, panno Anno?

— Ależ o tem świadczą słowa pańskie dążące teraz do wykazania motylej płochości moich myśli. Wszakże nie mylę się, panie Sokolski?

— Jeżeli pani podoba się sądzić w ten sposób...

— Nie rozumiem, wcale nie rozumiem, jak mogłam w wyobraźni pana zaawansować tak szybko z dziecka na płochego motyla.

Z wzrastającym gniewem ciągnęłam dalej.

— A więc ostatecznie tak. Może pan powiedzieć mamie o jej córce, przeobrażonej w motyla, lubiącego tylko kwiaty i słońce, swawolę i bezczynność. Powiedz pan, że dopiero tutaj jestem w swoim żywiole. W tej atmosferze burzliwej, urosły mi skrzydła, polubiłam to życie światowe i wyrwać się z niego obecnie, byłoby trudnem, zatrudnem może.

Puściwszy wodze myślom, wypowiedziałam większą część prawdy mimowoli. Pierwsze słowa składały się na żart, ostatnie malowały prawdziwą postać rzeczy.

Zaledwie powstałam z fotela w zamiarze pożegnania niemiłego gościa, gdy w cieplarni ukazał się Witalis. Biegł raczej niż szedł. Rozrzucone nieco krucze włosy, rozrumieniona twarz, zlekka otwarte purpurowe usta, nadawały jego postaci niewysłowiony urok. Oczy moje pociągnięte nieprzepartą siłą zawisły na nim.

— Panno Anno, ulubiona artystka zacznie wnet drugą aryę. Jeśli pani chce usłyszeć śpiew syreny — dodał żartobliwie — pośpieszajmy.

Uderzający kontrast zwrócił chwilowo moją uwagę. Witalis naprzeciw Sokoła, to rzeczby można: Ale przy szpetnym karpollo, piękność naprzeciw brzydoty. Takie przynajmniej spostrzeżenie nasunęło mi się wówczas.

— Czy powtórzy pan mamie to, o czem mówiliśmy przed chwilą? — rzekłam zwracając głowę w stronę Sokoła.

— Ani słowa — brzmiała odpowiedź zaprawiona długiem, badawczem spojrzeniem.

— Żegnam panią, miłej zabawy.

Już z pomiędzy kwiatów cieplarni, otrzymał ode mnie odchodzącej skinienie głowy.

Słowa nowej włoskiej piosenki płynęły już srebrzystą kaskaką, pieszczotliwych, dziwnie mile wpadających do ucha dźwięków. Była to jakaś wenecka cansoneta, złożona zda się ze szmeru fal wodnych i szeptów miłosnych. Rulady trylów drgały tym szałem, właściwym tylko niebu południa, w pianissimo słyszało się westchnienia, wychodzące z piersi płonącej żarem, nie zaś uciśnionej smutkiem. W wibracyi głosu zamykał się cały powab włoskiej igraszki. Jo t'amo! brzmiało przeciągle, słodko, upajająco... „Jo t'amo" nuciłam w myśli, postępując zwolna obok mego towarzysza. Zkąd się zerwało to uczucie dla niego? Jak się stało, że w dwóch powyższych słowach piosenki streszczałam już całą siebie?

Zdarzało mi się wprawdzie czytać w powieściach o gwałtownych, w jednej minucie zrodzonych popędach miłości lub nienawiści, lecz nigdy nawet wyobrazić sobie nie mogłam, jak się dzieją podobne rzeczy. To, co przez długi czas uważałam za urojenie autora, teraz spełniało się na mnie co do joty. Jedno jeszcze nie przemawiało tylko do mego przekonania. Niekiedy, bohaterki w powieściach, rozkochane najpierw zapamiętale, później również nagle, ostygały. Miałożby to się i ze mną stać?

— O! nie! nie! — zawołałam głośno, odpowiadając własnym myślom.

— Co takiego? — zapytał z uśmiechem podziwu Witalis.

Osoby bliżej nas będące obejrzały się.

— Nasze miejsca już zabrane... — ponowił cicho mój przewodnik.

— To nic, panie Witalisie. Stańmy przy tem wielkiem balkonowem oknie. Będziemy mieli wspaniały widok na główny salon.

— Jeśli taka wola pani, zgadzam się.

Tymczasem panowie ruszyli się z miejsc, ofiarując mi krzesło.

Znalazł się i dla Witalisa taburet, takim więc sposobem siedzieliśmy nieco dalej od całego towarzystwa. Pozycya taka mogła niezmiernie ułatwić rozmowę. Przed nami rozciągały się długie szeregi dam i panów strojnych w balowe tualety. Na końcu, wśród palm, wznosiła się estrada, podobna do wzgórka zieloności. Ulubienica publiczności śpiewaczka, głośna talentem a niezrównana wdziękiem, przedstawiała się nad wyraz efektownie w tem otoczeniu.

— Panno Anno — ozwał się przyciszonym głosem Witalis — co znaczyło to: Nie, nie, wykrzyknięte tak nie na czasie.

— Była to odpowiedź na to, o czem pan nigdy się nie dowie — odparłam przyciskając wachlarz do ust zaczynających drżeć.

— Więc to taka wielka tajemnica?

— Większa, niż pan nawet wyobrazić sobie może. Lepiej nie mówmy o tem, bo mimowoli mógłabym powiedzieć więcej niżbym chciała.

— Jak to pani smutnie wymawia.

— Nieprawdaż? Panu się zdaje, jakoby smutek był czemś niezgodnem ze mną. Panie Witalisie, spójrz pan — dodałam wstając — tam, za okno, w tą nocną dal.

I przyciskając rozpalone czoło do chłodnej szyby, mówiłam dalej:

— Jak tam mroźno, jak całe oświetlenie stanowi tylko powłoka śnieżna, a tu tak ciepło, wesoło, przyjemnie. Co za uderzająca sprzeczność. Otóż tak samo może dziać się i z ludźmi. Młoda, pozornie wszystkiemi blaskami jaśniejąca powierzchowność, może być ciągłym kontrastem z głębiną duszy. O! wierz pan, bywa mi tak smutno, jak w tej chwili tam — skończyłam wskazując po za okno.

— Czyż na ten smutek nie byłoby pociechy?

Witalis stał także przy oknie, spoglądając w dal śnieżnej, bezgwiazdzistej nocy.

Zazdrościłam prawie przestrzeni, na której spoczęły te wielkie, głębokie, czarne oczy. Niedarmo patrzyłam w nie, niby w przepaść, pociągającą tajemnym jakimś, niezbadanym urokiem. Zawisłam w niej całkowicie i nie miałam nawet siły do wydobycia się ztamtąd. Byłabym chętnie wybiegła z tych salonów, byle módz stanąć naprzeciw Witalisa, byle czuć promienie jego wzroku na sobie.

Teraz, na zadane mi przez niego pytanie, czy w moim smutku nie byłoby pociechy, milczałam, zapatrzona w klasyczny jego profil. Któż wie, gdyby teraz odwrócił się i spojrzał na mnie, miałby odpowiedź aż nadto dosadną.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

---

# KWESTYONARYUSZ
## MIŁOŚCI DOTYCZĄCY.

O uczuciu tem tak silnem i świętem zarazem, tak lekceważonem i wynoszonem pod niebiosy, niczem nie zdobytem a często poniewieranem, frymarczonem i... udawanem, rozpisywano się już odwiecznie i przedmiot nie został wyczerpany.

Kwestya choć podnoszona ciągle, przedstawia się zawsze jak nietknięta, niepojęta, wiecznie świeża, ponętna i zachwycająca.

Niedawno Figaro paryzki rzucił pytanie, poddając je do rozwiązania kobietom, jaka jest według nich książka najwymowniej i najdelikatniej traktująca o miłości.

Odpowiedzi posypały się jak deszcz kwiecisty. Najwięcej głosów przemawia za „Naśladowaniem Chrystusa", potem idzie „la Princese de Cleves", pani Lafayette, dalej „Jocelyn" Lamartine'a, „Paweł i Wirginia", „Lettres de mademoiselle de Lespinasse", „l'Amour" Micheleta, „Monsieur, Madame i Bébé" Droza, „l'Education sentimentale" Flauberta. Z Polski i Berlina (!) głosują za „Wertherem". Wreszcie niejedna biała gałka padła na „Chérie" Goncorta, „Manon Lesceaut" abbé Prévoste'a, „Psalmy" Dawida i „Pieśń nad pieśniami" Salomona.

Niektóre odpowiedzi korespondentek warte są zanotowania:

Jedna z nich pisze: każdej kategoryi kobiet podoba się inna książka:

Naiwnym: „Daphnis i Chloe".
Zepsutym: „Don Juan".
Marzycielkom: „Paweł i Wirginia".
Namiętnym: „Nowa Heloiza".
Dziewicom cnotliwym: „Naśladowanie".
Szalonym: „Manon Lescaut".

„Powieści, to jak pocałunki — pisze inna — najlepsze są wczorajsze, te których smak mamy jeszcze na ustach. Książka zaś, która najwymowniej mówi nam o miłości jest... twarz kochającego i ukochanego mężczyzny. Każda kobieta choćby raz w życiu przerzuca kartki tej księgi cudownej, gdy się jeszcze nie umie w niej czytać, rozkosznej, gdy się już czyta w niej płynnie.

„Martine" dodaje: „Dla kobiety nie ma piękniej napisanego dzieła o miłości nad to, które czyta w sobie."

„Księgi miłości takiej, o jakiej marzy kobieta, nikt jeszcze dotychczas nie napisał — twierdzi inna — powieściopisarz gdyż nie potrafi: powieściopisarka bo nie może i nie śmie. Księga najwymowniej mówiąca o miłości, jest serce kobiety, a tego dotychczas nikt nie wydrukował".

„Nieznajoma" pisze: „Dzieło, które najwymowniej opiewa o miłości jest dla każdej kobiety to, w którem odnajduje własne dzieje lub pragnienia. Możesz je pan sądzić według tytułów, jakie ci podadzą."

X. jest paradoksalną.

„Jedno tylko dzieło traktuje właściwie miłość. Prawdziwy romans serca streszczony jest tam w kilku zwięzłych artykułach: przyzwolenie rodziców, intercyza, obrzęd zaślubin, dzieci, wiarołomstwo, separacya, rozwód. Wybór mój pada sta-

nowczo na to wiekopomne dzieło, a jest nim: „Kodeks Napoleona".

Dalej czytamy apoteozę „Naśladowania".

„W księdze III-ej, rozdziale V-ym tego przedziwnego utworu znajduje się najpiękniejsza ze wszystkich analiza miłości, któż ośmieli się twierdzić, że może być wznioślejszy przedmiot uczuć oraz piękniejsze ich wyrażenie!"

Podpisano: „Kobieta coraz bardziej pogardzająca tem, co jest na dole i która chciałaby wznosić się wyżej, coraz wyżej."

Zakończymy wreszcie tą, ze wszechmiar słuszną uwagę jednej z korespondentek:

„Drwiłeś z nas chyba, kochany „Figaro", zadając swe pytanie? Wszak wiesz dobrze, że dotychczas książka taka nie ukazała się jeszcze ani w rękopisach, ani na półkach księgarskich. Chyba, że weźmiemy za takie arcydzieło utwór czytany w chwili, gdyśmy były zakochane. Ale, wówczas wszystko w nas i naokoło nas mówiło nam wymownie o miłości.

Dostaniesz niewątpliwie stosy odpowiedzi. Wierzaj mi: moja streszcza je wszystkie.

---

# WOLA.

PRZEZ

## JERZEGO OHNET'A.

PRZEKŁAD

*Bronisławy Kowalskiej.*

---

(Dalszy ciąg.)

Klemens postąpił krok naprzód chcąc jeszcze błagać młodą dziewczynę, lecz z dźwięku głosu i wyrazu twarzy Heleny przekonał się, że prośby jego byłyby daremne. Głuchy jęk rozpaczy wydarł się z jego piersi i Thauziat skłoniwszy się pannie de Graville, oddalił się szybko. Helena z ciężkiem sercem wyszła na taras i unikając spotkania z panią Hérault i Emilią, które przyłączyły się do Klemensa oczekującego na pannę Lereboulley przy powozie, podążyła w głąb' parku, chcąc w ciszy i samotności zastanowić się nad sobą.

Doszedłszy do jeziora, usiadła na darniowej ławeczce i w głębokiej pogrążyła się zadumie. I Klemens i Emilia przestrzegali ją, aby nie zajmowała się Ludwikiem, gdyż związek z nim nie przyniesie jej szczęścia. Co do Klemensa tłomaczyła sobie jego nieprzyjazne względem Ludwika usposobienie tem, że ją kochał, pomimo to czuła, że wszystko co jej powiedział było prawdą. Tem bardziej zaś Emilia przyjaciółka jej i towarzyszka, szczerą była mówiąc jej, aby nie myślała o związku z Ludwikiem, który unieszczęśliwi ją z pewnością. Zdawało się Helenie, że stoi pochylona nad przepaścią, której niezmierzonej głębi sama ocenićby nie potrafiła, na dnie której połyskiwało drobne lecz jasne światełko, jak zbawcza gwiazdka nadziei. Kto wie jednak czy raz osunąwszy się w przepaść, mogła mieć nadzieję, że się z niej wydostanie? Dlaczegóż więc dobrowolnie narażać się na niebezpieczeństwo? Była wolną i mogła cofnąć się w każdej chwili, dość było wymówić jedno słowo i uchronić się od dręczącego ją niepokoju. Lecz czy odważy się wymówić to słowo? Może zakosztowawszy życia w dostatkach i bogactwie, lękałaby się pracy i ubóstwa? Nie, bynajmniej, porzuciłaby bez wahania ten pałac i wszystkie rozkosze światowe i bez skargi rozpoczęłaby życie ciche i pracowite, lecz coby się stało z sędziwą panią Hérault dla której obiecała być dobrą, kochającą córką? Staruszka tak już przywykła do jej troskliwej opieki, że nieobecność Heleny byłaby ciężkiem dla niej zmartwieniem. A Ludwik, miałaż go zostawić na pastwę jego złym skłonnościom, już od dwóch dni wydawał się tak smutny i tak zniechęcony!

W tej chwili serce Heleny ścisnęło się boleścią niezmierną; zrozumiała, że odrzucając rady Klemensa i Emilii, narazi się w przyszłości na ciężkie zgryzoty. Ale głos jakiś w głębi duszy powtórzył jej znowu: „bądź śmiałą i odważną, nie lękaj się niebezpieczeństwa, zwyciężysz wszystko siłą twej woli."

Zdawało jej się, że w głębi przepaści, która ją tak przerażała, mdłe i słabe z początku światełko, rozjaśniało się i wznosiło w górę a czarna czeluść zamieniła się w niezmierzony błękit nieba. Wtedy rzewna jakaś otucha wstąpiła w jej serce aprzekonanie, że zwycięży wszystkie przeszkody i broniąc własnego szczęścia, ocali również szczęście istot ukochanych, wróciło jej spokój i swobodę umysłu. Czuła, że wielki ciężar spadł jej z serca, skoro tylko stanowcze powzięła postanowienie, siedziała więc rozkoszując się ciszą natury i spokojem, który po długiej walce zawitał wreszcie do jej duszy.

Upłynęło zaledwie kilka minut, gdy Helena posłyszała jakiś szelest w krzakach. Podniósłszy oczy ujrzała Ludwika, który zobaczywszy ją zatrzymał się na ścieżce. Był bardzo blady a jednak pot kroplami spływał mu po czole; na ubraniu poprzylegane dźbła mchu i traw dowodziły, że długie godziny przeleżał w lesie na ziemi. Zwolna przystąpił do Heleny i rzekł drżącym głosem:

— Nie spodziewałem się zastać panią tutaj i nie chcąc być natrętnym oddalę się natychmiast...

— A z czegóż pan wnosisz, że jesteś mi natrętnym? — spytała Helena.

— Od wczoraj unikasz mnie pani widocznie — odparł z goryczą. — Oczywiście więc obecność moja nie podoba ci się lub też towarzystwo kogoś innego więcej ma dla ciebie powabu...

— Nie rozumiem pana...

— Widziałem w tej chwili powóz, w którym odjeżdżała Emilia z panem de Thauziat.

— Ah! więc to pan de Thauziat zajmuje pana w tej chwili — rzekła z uśmiechem młoda dziewczyna — jeśli tak to możesz pan być spokojny, wątpię bowiem czy pan de Thauziat zawita tu jeszcze...

W oczach Ludwika zabłysła bezmierna radość, niezdolny dłużej panować nad sobą żywo przysunął się do Heleny.

— Więc pani go nie kochasz? — spytał stłumionym od wzruszenia głosem.

— Czyż każda kobieta bezwarunkowo musi się w nim pokochać? — spokojnie rzekła Helena.

Ludwik pobladł jeszcze bardziej, nagłe przejście z uczucia zazdrości do nadziei obezwładniło go prawie i upadł raczej niż usiadł na darniową ławeczkę obok młodej dziewczyny. Nie mogąc zdobyć się na słowa, błagalnie wyciągnął ku Helenie ręce, które były drżące i zimne jak lód. Panna de Graville przeraziła się ująwszy je w swoje dłonie.

— Ah! mój Boże! — zaczął wreszcie Ludwik po długiej chwili milczenia — jakże mnie też pani nadręczyłaś niemiłosiernie, może nawet nie pojmujesz ile wyrządziłaś mi złego! Ale o co Klemens prosił cię wczoraj, bo domyśliłem się natychmiast, że nie powiedziałaś mi prawdy...

— Pan de Thauziat pytał mię wczoraj czy zechcę być jego żoną — odrzekła łagodnie Helena— a dziś...

Tu zatrzymała się, ciesząc się skrycie wzruszeniem malującem się na twarzy Ludwika, którego życie zdawało się zawieszone na włosku.

— Dziś? — powtórzył.

Panna de Graville spojrzała na niego z niewymowną słodyczą i odpowiedziała głosem dźwięczącym jak niebiańska muzyka w uszach tego który ją kochał:

— Dziś odpowiedziałam mu, że nie opuszczę nigdy domu twej babki.

— Heleno! — zawołał Ludwik a oczy jego napełniły się łzami.

Helena lubowała się widokiem radosnego upojenia, które do łez potrafiło wzruszyć mężczyznę; po ustach jej lekki błąkał się uśmiech, a lica delikatnym zabarwiły się rumieńcem. Ludwik namiętnym uściskiem przygarnął ją sobie w objęcia, jak gdyby się lękał, aby mu jej kto jeszcze teraz nie wydarł.

— Uwielbiam cię — szepnął — i jestem szczęśliwy po nad wszelki wyraz.

Ona łagodnie uwolniwszy się z jego objęć, z prawdziwie macierzyńską troskliwością obtarła łzy płynące po licu Ludwika, poczem wstała i wsparła się na ramieniu młodzieńca. I tak przytuleni do siebie poszli zwolna drogą ku pałacowi.

### VII.

Małżeństwo Ludwika Hérault-Gandon z panną de Graville zawarte zostało pod jak najlepszą wróżbą. Babcia nie posiadała się z radości a panna młoda nie miała rodziców, którychby może bolało to trochę, że panna arystokratycznego pochodzenia jakkolwiek uboga, wychodzi zamąż za przemysłowca chociażby najbogatszego. Ludwik w intercyzie zapewnił Helenie książęcą fortunę, ze wspólnego majątku, przekazywał jej milion jako wyłączną jej schedę.

Notaryusz, który zajmował się interesami rodziny Hérault, musiał robiąc kontrakt ślubny zrobić jednocześnie spis majętności nowożeńca. Spis ten wykazał, że Ludwik dobrze już nadszarpnął majątek i notaryusz przestrzegał go, aby nadal był oględniejszym. Wprawdzie fabryki i posiadłość w Boissise oraz osobisty majątek babci Hérault, były nienaruszone, ale to co stanowi wspaniały dostatek dla ludzi mających skromne gusta i upodobania, jest zaledwie wystarczającem dla tych co przyzwyczajeni są prowadzić dom na wielkiej stopie. Zbytkowne życie naraża na tysiące wydatków o jakich ludzie średniej zamożności nie mają nawet wyobrażenia, i zmusza nieraz do większej oszczędności w wydatkach, niż przy niewielkim stosunkowo majątku.

Helena od pierwszej chwili zamążpójścia, zrozumiała jakie obowiązki wkłada na nią stanowisko społeczne, jakie obecnie zajęła i z trzeźwością umysłu i nieporównaną bystrością sądu ułożyła budże

domowych wydatków, a uczyniła to tak umiejętnie, że nie zmieniając w niczem raz przyjętego trybu życia, potrafiła zastosować się do przychodów i grosza więcej nad to nie wydawać. Mąż był oczarowany jej rozsądkiem i przezornością a babcia, która nigdy nie liczyła się z wydatkami, nie mogła wyjść z podziwienia patrząc na zabiegliwość młodej pani.

Zresztą Ludwik zdawał się innym zupełnie człowiekiem. Dla przypodobania się żonie zajął się interesami i regularnie bywał w fabryce w Saint-Dénis. Tak więc żadna ze złych przepowiedni, jakich mogło się lękać młode małżeństwo, nie ziściła się dotychczas. Prawda, że miodowy miesiąc trwał jeszcze ciągle a dla miłości tak gwałtownej, jaką przejęty był Ludwik i pół roku nie dość długim do ochłonięcia czasem.

Ludwik uwielbiał żonę, każde jej słowo było dla niego rozkazem, patrzał jej oczami, oddychał jej tchnieniem. Emilia dziwiła się i własnym nie wierzyła oczom widząc w przyjacielu tak wielką przemianę, nigdy nie przypuszczała, aby Ludwik zdolnym był kochać długo i wytrwale. Wiedziała, że rządził się zawsze fantazyami, że zapalał się, płonął i gasł szybko jak ogień ze słomy, ale żeby człowiek tak lekkomyślny i nerwowy przejął się uczuciem silnem i głębokiem, oto nie posądzała go bynajmniej.

— Helena dokazała cudu! — mówiła sobie nieraz w duchu panna Lereboulley.

Pierwsza zima po zamążpójściu była dla młodej kobiety jednym snem czarodziejskim. Młody mąż poprzednio znudzony i zniechęcony do świata, wycofał się prawie ze stosunków, jakie jeszcze za życia ojca zawiązał, teraz jednak dumny pięknością i wykształceniem Heleny, pragnąc się nią pochlubić przed ludźmi, odnowił dawne i nowe zawiązał stosunki. Z rozkoszą spoglądał na hołdy jakiemi wszędzie otaczano Helenę.

Lereboulley znający cały prawie Paryż, dopomagał Ludwikowi do zawarcia znajomości i skoro gościnne salony pałacu Héraultotworzyły swe podwoje i tysiącem zajaśniały świateł, napełnił je tłum doborowego towarzystwa. Helena z wytwornym wdziękiem pełniła obowiązki gospodyni domu; osoby najbardziej uprzedzone przeciw ubogiej dziewczynie, która nagle została wielką panią, nie miały jej nic do zarzucenia. Lecz że często doskonałość bywa w oczach ludzi uważaną za najgorszą wadę, znaleźli się więc złośliwi, którzy starali się szkodzić Helenie; niesprawiedliwe ich docinki wprost przeciwny jednak wywarły skutek, potęgując jeszcze uwielbienie przyjaciół i stronników młodej pani Hérault. W miarę niechęci z jednej strony, wzrastał zapał z drugiej, a że świat wydając sąd o kimś trzyma się zawsze pośredniej drogi, uznano Helenę za osobę zachwycającą i ze wszech miar godną szacunku i poważania.

Helenę również cieszyło powodzenie w świecie, nietyle przez miłość własną ile ze względu na Ludwika, którego próżność mile podsycaną była. A próżność w jego usposobieniu ważne zajmowała miejsce. Należał on do tych ludzi co tracą majątek tylko dlatego, aby powiedziano o nich, że mają najpiękniejszy pałac, najpiękniejsze konie, najlepsze polowanie i najładniejszą żonę. Szczęściem dla niego jego żona mogła się nazwać nietylko najpiękniejszą, ale co ważniejsze, i bardzo wysoką wykształconą kobietą, która umiała powstrzymać go od popełniania wielu niedorzeczności.

Ludwik bowiem zawsze musiał ulegać czyjemuś wpływowi. Dawniej kierował nim Thauziat, popychając go do rozrzutności i zbytków i nic dziwnego gdyż sam miał gusta i upodobania wielkopańskie. Ale Thauziat nie był już teraz każdodziennym towarzyszem; po pamiętnej rozmowie z Heleną w Boissise, trzymał się zdala nie mogąc widać zapomnieć rany krwawiącej boleśnie jego serce.

Odsunięcie się Klemensa było niezmierną dla Heleny ulgą. Z chwilą, gdy odgadła wszystkie tajniki duszy Ludwika, pojęła zarazem jaki potężny wpływ wywierał Thauziat na jej męża. Przeczuwała, że dość było jednego słowa ze strony Klemensa, aby wpływ ten odzyskać na nowo. Ludwik czas jakiś nienawidząc Klemensa, gdy posądzał Helenę o miłość względem niego, teraz skoro ukochana kobieta na wieki już należała do niego, uczuł dawną życzliwość dla przyjaciela. Zresztą choćby miał nawet słuszniejsze dla nienawiści powody, kto wie czy potrafiłby nienawidzieć długo? W lekkomyślnem sercu Ludwika wrażenia odczuwane gwałtownie, zacierały się z łatwością. I właśnie na nieszczęście najszlachetniejsze i najdelikatniejsze uczucia najkrócej w nim gościły. To też Helena znając słabą stronę męża z trwogą przyjęła pierwsze po ślubie zaprosiny na jakieś ceremonialne zebranie do pana Lereboulley. Thauziat był tam jakby domownikiem i młoda kobieta lękała się z nim spotkać. Z obawą swoją zwierzyła się nawet Emilii, która wyrzucała jej, że od czasu, gdy została mężatką tak rzadko ją odwiedza. Lecz Emilia wysłuchawszy słów przyjaciółki, rzekła jej z głębokiem przekonaniem:

— Nie masz się czego obawiać. Widać, że nie znasz Klemensa... Bądź pewna, że ci się narzucać nie będzie i nie wymówi ani jednego słowa, któreby cię mogło zaniepokoić lub obrazić... Wiem, że cierpi i jest nieszczęśliwy ale nikt się tego nie domyśla, gdyż Thauziat znakomicie potrafi nad sobą panować.

I w istocie ile tylko razy czy to na balu, czy na jakiemkolwiek innem zebraniu Helena spotkała Klemensa, ten ostatni nie zbliżał się do niej nigdy i po upływie najdalej kwadransa wymykał się z towarzystwa. Czynił to tak zręcznie, że nikt nie dostrzegł, aby znikanie jego miało jaką wspólność z ukazywaniem się pani Hérault. Postępowanie jego było tak niezmienne, że Ludwik zwrócił wreszcie na to uwagę i nie taił, że go to drażniło.

— Czyż to nie przesada ze strony Klemensa, że unika mnie tak uporczywie? — rzekł pewnego razu do żony. — Prawda byliśmy rywalami, alež to jeszcze nie powód do zupełnego zerwania stosunków. Jeżeli ja nie mam urazy do niego, dlaczego on jest taki rozżalony? Wszakże rozpacza już pół roku, a to chyba dostateczny przeciąg czasu na zapomnienie miłosnego zawodu, a zresztą gdyby chciał, pocieszyłby się z łatwością ten niezwyciężony zdobywca serc niewieścich. Ręczę, że znalazłby setki kobiet gotowych w każdej chwili pomagać mu do zapomnienia twego okrutnego obejścia, którego wspomnienie tak wielką sprawia mu przykrość. Ale bo też i ty Heleno mogłabyś się łaskawszą okazać dla niego, mogłoby się zdawać, że nienawidzisz go teraz.

— Bynajmniej — spokojnie odpowiedziała Helena — lecz nie uważam za właściwe odnawiać raz zerwane stosunki. Przyjaźń naprawiana nigdy trwałą nie jest.

Napróżno Ludwik starał się ją przekonać, Helena okazała się niewzruszoną i wytrwale obstawała przy swojem zdaniu.

— Mój drogi — rzekła wreszcie — nie do cie bie należy zrobić pierwszy krok pojednania. Jeśli pan de Thauziat odzyskawszy zimną krew przyjdzie do nas jako przyjaciel, z pewnością nie zamknę przed nim drzwi mego domu. Ale postępowanie jego dowodzi, że jeszcze nie zapomniał, lepiej więc pozostawić go w spokoju.

— Czy się lękasz, aby się do ciebie nie zalecał? — spytał Ludwik z tą nieco drwiącą pewnością człowieka, który wie, że jest kochany.

— Być może — poważnie odpowiedziała Helena.

Nie chciała powiedzieć otwarcie, że zbliżenia lękała się więcej dla męża jak dla siebie. Przypadek i od tej uwolnił ją troski. W połowie zimy Lereboulley wyjechał do Smyrny dla zbadania jakiegoś ogromnego transytowego interesu. Chodziło tam o zaprowadzenie stałej żeglugi handlowej pomiędzy Marsylią a brzegami Syryi. Przejeżdżając senator chciał się zatrzymać w Koryncie, aby zwiedzić miejsce projektowane na przebicie międzymorza.

Thauziat miał mu towarzyszyć w podróży, obydwaj zaś jechali na statku parowym, który sir James nabył dla przypodobania się żonie. Syrena, takie bowiem miano nosił statek, była najpiękniejszym yachtem spacerowym jaki istniał w Europie. Ładny i dość obszerny, gdyż mógł pomieścić czterysta beczek, statek był przytem lekki i płynął podobno, szybko. Właściciel jego, lord Mellivan-Grey, dlatego tylko sprzedał go swemu współziomkowi sir Olifaunt, że w skutek śmierci córki postanowił zupełnie zaniechać żeglugi.

Gdy sir James przyznał się do tego kupna, Lereboulley nie ukrywał swego niezadowolenia. Nabytek taki był daleko kosztowniejszy niż wszystkie obrazy i drogocenne cacka, jakie kupował dotychczas. Statku nie można było postawić na półeczce, nie dość nabyć, trzeba było zgodzić kapitana, któryby nim kierował, marynarzy do usługi i kupić węgla do opału. Wydatek zatem nie był jednorazowy ale nieustający. Przez dwa tygodnie Lereboulley nie mógł się uspokoić i nie szczędził gorzkich wymówek sir Olifaunt.

— Gdyby ten statek chociaż wart był tych pieniędzy — mówił do sir James — ale jestem pewien, że to jakiś stary, zrujnowany grat, który już niezdatny do żeglugi, zatonie zaraz po oddaleniu się od brzegów. I chcesz pan, abym w takich warunkach razem z wami puszczał się na morze?... Ależ to szaleństwo, mój panie, spodziewam się, że żona nie będzie panu towarzyszyć... byłoby to największym z jej strony nierozsądkiem... Jeżeli pan utoniesz, będziemy płakać po tobie, sir James, ale przynajmniej nie zgubisz pan biednej Dianny.

Senator ciągle przepowiadał Anglikowi nieszczęśliwy koniec tej improwizowanej morskiej podróży.

Tłumiony gniew wrzał w głębi jego piersi i zdawało się, że chciałby był z brzegu przypatrywać się rozbiciu Syreny, aby być pewnym, że rozrzutny jego przyjaciel nie ocalał z topieli.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

# KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

## O UBIORACH.

*1 Września 1888 roku.*

Spóźniliśmy o kilka dni sprawozdanie nasze na Wrzesień, a to z prostej przyczyny, że nie było o czem pisać. Od tygodnia dopiero spostrzegać się daje niejaki ruch w magazynach paryzkich. Wystawy zimowych towarów, rozpoczną się zaledwie w końcu bieżącego miesiąca, ale rodziny cudzoziemskie ściągają już do Paryża, z wód i morskich kąpieli, dla nich to, w niejednem oknie na Bulwarach, ukazują się nowe kapelusze i okrywki, dla nich fabrykanci nadsyłają do pracowni słynnych modniarek, próbki wełnianych tkanin, w nowym zupełnie rodzaju. Takie próbki widzieliśmy właśnie w pracowni panny Elizy Mery, (przy ulicy Caumartin N-r 48).

Do zwykłego ubrania, najmodniejsze wyroby w węższe lub szersze pasy. Wśród tych przeważa ciepła limousina, tartan, szewiot, a szczególniej serża angielska i francuzka. Na tle granatowem, popielatem, morderowem, brązowem lub ciemnozielonem, przechodzą pasy złożone z wązkich prążków ponsowych, szafirowych, złotawych i t. p. Kostyum składać się będzie ze spódniczki okrągłej, przymarszczonej, bez podpięcia, z materyału gładkiego, w kolorze do tła odpowiednim; tkanina w pasy, posłuży tylko do obłożenia dołu w poziomym kierunku, mniej więcej na pół łokcia. Garnirunek ten ogólnie przyjęty w tym roku. Stanik marszczony u ramienia, zapięty na boku lub na przodzie, będzie miał plastron albo wyłogi w pasy, taki kołnierz i mankiety u rękawów.

Z wymienionych powyżej kolorów najmodniejszy zielony w rozmaitych odcieniach: popielato zielonkowaty (rezeda), szpinakowy (epinard), rozmarynowy i t. d. Widzimy tkaniny na tle ciemno szpinakowem w pasy jasno zielone. Gładki materyał na spódniczkę, mieni się w tychże dwóch odcieniach.

Kolor ciemno stalowy, przyjęty również na suknie jesienne i zimowe. Zwrócił uwagę naszą bardzo ładny kostyum w tym kolorze z gładkiej miękkiej serży, spódniczka u dołu naszyta szlakiem z dwóch pasów jasno popielatych, do cieniu. Stanik marszczony u ramienia, roztwarty na przodzie i na plecach spinał się z lewego boku. Na wykroju dany był pasek jasno popielaty. Z pod wycięcia wyglądały plastrony morowe, tak z przodu jak i w tyle. Szarfa morowa ułożona w zakłady, z lewego boku związana na kokardę otaczała stanik dokoła.

Uważaliśmy także sztuczki na suknie z wełnianej, bardzo miękkiej tkaniny w kolorach granatowym, brązowym, morderowym i zielonym. U dołu spódnicy idzie szlak haftowany jedwabiem czarnym, szeroki na ćwierć łokcia. Jeden z takich kostyumów w kolorze rezeda był już gotowy. Nad szlakiem dana była plisa z czarnego aksamitu, szeroka na trzy cale. Przód spódnicy, bardzo lekko podpięty z boków, tworzył długi fartuszek, z pod spodu wyglądała czarna aksamitna spódniczka. Tylne bryty prosto spadały. Stanik marszczony jak zwykle otwarty był na piersiach, objęty plisą aksamitną. Otwór wypełniał plastron haftowany odpowiednio do szlaku.

Inny znów kostyum w tureckim guście, ciemno morderowy, miał u dołu szlak wyrabiany w palmy różnokolorowe, wysokie na pół łokcia. Węższe szlaczki zdobiły stanik i rękawy.

Do tegorocznych nowości należą również kostyumy z szalów tartanowych angielskich, w niezbyt szeroką kratę w żywych kolorach, na tle ciemno zielonem lub granatowem (bleu marin). Spódnica u nich gładka, okrągła, stanik marszczony i otwarty, na wykroju przybrany frendzlą kręconą, jaką zwykle szal zakończony, na piersiach i na plecach dane plastrony morowe w kolorze odpowiednim. Guziki do tego srebrne, oksydowane, nasadzane drobnemi kamykami. Na boku wielka kieszeń, szarfa morowa przewiązana po lewej stronie, dopełnia ładnego ubrania, na ulicę lub do podróży.

W rękawach wielka panuje rozmaitość. Najwięcej widzimy przymarszczanych u ramienia, ułożonych w jedną lub dwie buffy. Niektóre ozdobione w górze epoletem, u innych koronka spada poniżej łokcia. Widocznie moda jeszcze nie ustalona. To tylko stanowi główną cechę teraźniejszych rękawów, że w ogólności krótkie nie dochodzą do ręki. Ztąd wynika potrzeba długich rękawiczek, spiętych na sześć guzików.

Zaniedbane od dwóch lat kołnierzyki zaczynają się pokazywać. Spostrzegamy coraz to częściej fryzki plisowane z tiulu albo muszlinu. Noszą je zwrócone do góry, lub też spuszczone na stojący kołnierz od sukni. Te ostatnie szerokie niekiedy na ćwierć łokcia. Do niektórych dodają długi żabot. Pochwalamy ten powrót do fryzek, zbyt długo pogardzonych, żadna bowiem obróżka wkoło szyi, choćby najozdobniejsza nie zastąpi białego kołnierzyka.

O kapeluszach nic jeszcze stanowczo powiedzieć nie możemy. Łatwo jednak przypuścić, że skoro moda upodobała sobie suknie i kostyumy z epoki Dyrektoryatu, zastosuje do nich i kapelusze z szerokiem, wystającem naprzód rondem, przybrane piórami i kokami ze wstążek. Obok tych, zapowiadają również i maleńkie toczki. Widzieliśmy już takie modele z aksamitu szkockiego w kratę różnokolorową, na tle ponsowem lub szafirowem. Takaż sama kokarda upięta z przodu, stanowi jedyną ich ozdobę. Toczki te ładne do teatru lub na przejażdżkę powozem, nie dadzą w żaden sposób zastosować się na ulicę. Uważaliśmy także czapeczki całe pokryte mieniącemi się paciorkami, z dwoma skrzydełkami nad czołem.

Opis zimowych okrywek zostawiamy do przyszłej korespondencyi. Zdaje się, że rotondy, przyfałdowane w górze, rozcięte po bokach, jakie ukazały się wiosną, będą miały przewagę nad innemi.

Boa z futra lub piór, tak przypadły zeszłej zimy do gustu Paryżankom, że wymyśliły na chłodne wieczory letnie nowego rodzaju węże, układane z białej, albo z czarnej koronki. Noszą je dziś powszechnie. Robota ich nadzwyczaj łatwa. Wałeczek jedwabny z watą w pośrodku, naszywa się dokoła marszczoną koronką, szeroką na trzy lub cztery cale. Koronka ta wcale się nie odcina, lecz spuszcza coraz niżej, aby szew był pokryty. Białe Boa przyjęte do powozu lub do teatru, czarne do wyjścia na ulicę. Te ostatnie można spiąć u szyi na czarną aksamitną kokardę.

*S. D.*

---

# WIADOMOŚCI

# Z RÓŻNYCH STRON.

Pielgrzymka pobożnych do Częstochowy, udających się na odpust Narodzenia Najświętszej Panny w dniu dzisiejszym, była ostatnią w tym roku, jaka wyruszyła w zeszłym tygodniu z kościoła św. Ducha przy rogu ulicy Długiej i Freta. Po wysłuchaniu nabożeństwa, pątnicy zebrani w ilości tysiąca osób, około godziny 11 wyruszyli w stronę rogatki Jerozolimskiej.

Przód jej stanowiły gustownie ubrany kwiatami krzyż, 4 chorągwie i 3 obrazy na drążkach, niesione przez kobiety starsze wiekiem.

Koniec kompanii stanowiły tak zwane „podwody”, czyli wozy, pokryte z wierzchu nieprzemakalnem płótnem, w celu uchronienia od uszkodzeń i zepsucia pomieszczonych w nich tłomoków i zapasów.

We wsi Wygoda oczekiwało już na kompanię warszawską około 3,000 osób i kilkadziesiąt dorożek, bryczek i powozów.

Orszakowi kompanii, wspaniale rozwiniętemu, towarzyszyła najpiękniejsza pogoda.

Ubiory pątników i pątniczek z małemi wyjątkami przeważnie letnie, płócienne. Kobiety, prócz tego, odróżniają się wielkiemi słomianemi kapeluszami i białemi muślinowemi welonami, spadającemi do ziemi.

W Wygodzie półtory godziny odpoczynku zużyte zostały na pierwszy posiłek dla pielgrzymów. Uczestniczyły w nim także parotysięczne tłumy warszawian, żądne wrażeń przy odprowadzaniu najbliższych krewnych.

Przy tej sposobności nieomieszkano całą tamtejszą restauracyę ogołocić ze wszystkich zapasów.

Z Wygody o godzinie wpół do 1 w południe wyruszono szosą do m. Raszyna, oddalonego o półtorej mili.

Tu powtórzyły się te same sceny co i w Wygodzie...

Orszak kompanijny okrążywszy tamtejszą świątynię trzy razy dokoła, spoczął na cmentarzu godzinę czasu.

Niecierpliwi nie zwlekając ani chwili, udali się do ostatniego pożegnalnego miejsca w lesie sękocińskim.

Tu lasek w przeciągu dwóch godzin zamienił się w formalne... Bielany. Nie brakowało niczego zgoła. Zabłąkała się nawet katarynka i parę harmonijek. Z nadejściem jednak kompanii gwar i chałas ucichły na chwilę.

Ożywiona pogawędka pątników z odprowadzającymi ich znajomymi trwała godzin parę. Po wysłuchaniu przemowy przewodniczącego niemi, pielgrzymi zaintonowali pieśń „Anno-Patronko, wszech opiekunko, pobłogosław nam drogę!...” i ruszyli na pierwszy nocleg do wsi „Łazy”, oddalonej od Warszawy o 2 i pół mili drogi.

Pragnący dłuższego spoczynku zanocowali w Mrokach i w Tarczynie. Pod wieczór wróciła do Warszawy garstka osób odprowadzających pielgrzymów.

Podług ich słow, sama kompania liczyła 1,140 osób, licząc w to i włościan, stanowiących dwie części całej kompanii.

Odprowadzających za to cyfra sięgała 3,500 osób.

Pomiędzy pątnikami znajdują się tacy, którzy w roku bieżącym udają się pieszo do Częstochowy po raz... czwarty z rzędu (na miesiąc Maj, Lipiec, Sierpień i Wrzesień). Jednostki te zazwyczaj wybierają się w drogę bez grosza, żyjąc przez całe trzy tygodnie w pielgrzymce z łaski zamożniejszych pielgrzymów, lub zapomóg przewodniczących braci.

Kompania ostatnia należy do najmniej licznych i do mało zamożnych. Zabawi w drodze dni siedmnaście, krócej niż każda inna. Od Wygody zaraz dostrzeżono spełnionych kilka drobniejszych kradzieży, przez czychających na każdą sposobność rzezimieszków warszawskich. Poszlakowanych natychmiast odstawiono transportem do Warszawy.

**Wulkan** Bondai-Sau, w Japonii, zrządził niedawno szkody olbrzymie na całą okolicę, która zmieniła zupełnie swą powierzchowność. Po katastrofie powstały góry i wklęsłości, gdzie nie było ich dawniej. Kwitnące wioski zapadły się pod popiołem na kilkadziesiąt stóp. Pięć z nich znikło zupełnie z powierzchni ziemi. Pomiędzy ludźmi ofiar jest mnóstwo; trupy mają podobieństwo do tych co padły od eksplozyi kotła parowego. Niektórzy podrzuceni w górę, zawiśli w stanie martwym na drzewach. Góra wulkaniczna składa się z czterech wierzchołków, lecz wybuch nastąpił z jednego, obecnie pokrytego w całości popiołem i olbrzymiemi kamieniami, które podczas wybuchu jak piłka wyrzucane w górę, gradem spadały na ziemię. Wiele z nich wyrzuconych pionowo, spadło na sąsiednie góry.

**Zbiory.** W Anglii urodzaj pszenicy w ogóle tak pod względem ilościowym jak i jakościowym, ustępuje urodzajowi roku zeszłego; natomiast jęczmień, owies i kartofle obfitsze wydadzą plony. Według pomienionych obliczeń, zbiór pszenicy wyniesie około 20,000,000 hektolitrów; zagranica więc w roku bieżącym będzie musiała dostarczyć 58 milionów hektolitrów. W Austryi pszenica zbyt długo wystawiona była na działanie bardzo nieprzyjaznej pogody, a w skutek tego w wielu miejscowościach porosła. Żyto porosło przeważnie tylko w górach i miejscowościach górzystych. W ogóle rezultaty zbiorów zarówno żyta jak i pszenicy spodziewane są zaledwie średnie. Zbiór owsa zapowiada się dość dobrze.

**Nasze sportsmenki.** W sobotę, jak donosi „Kuryer Codzienny", rozegrał się w Warszawie wyścig na długą metę, w którym wzięły udział dwie panie. O godzinie 8 rano od rogatki Belwederkiej ruszyło ku Grójcowi pięć koni, z których trzy dosiadane były przez panów, a dwa przez amazonki. Przez pierwsze trzy mile jeźdźcy jechali razem, następnie zaś wyprzedził wszystkich pan Ad. Cz., gdy jednak brakowało już tylko pięć wiorst do mety, panna Anastazya G. wypuściła swego konia i pomimo forsownej jazdy współzawodnika stanęła pierwsza w Grójcu. Przez całą drogę do Grójca odpoczywano tylko trzy razy po 40 minut, a jednak dystans to 43 wiorstowy. Napowrót jechano o wiele forsowniej; odpoczywano również trzy razy, panowie jednak skracali przystanki od 25 do 35 minut, panie zaś musiały odpoczywać po 50 minut.

Pierwszym przy rogatce stanął pan Józef Bi., drugą zaś była panna C., reszta towarzystwa nadjechała po upływie 24 minut. Tym sposobem w ciągu 12 godzin odbyło drogę wynoszącą 86 wiorst, co wynosi przeszło milę na godzinę.

Taka forsowna jazda z udziałem pań w kołach sportsmeńskich uważaną jest za niezwykłą. Zwyciężczyni w pierwszym biegu (do Grójca) otrzymała nagrodę, składającą się ze złotego zegarka z odpowiednim napisem.

**Kobieta adwokatem.** P. Popelin, która otrzymała w Brukselli stopień doktora praw w d. 1 Października przed sądem apelacyjnym w Brukselli, wykona przysięgę profesyonalną. Jednocześnie ma się ukazać na widok publiczny książka pewnego adwokata brukselskiego, która dowieść zamierza, iż zarówno prawodawstwa dawne jak i nowe nic nie mają przeciw temu, iżby kobieta zajmowała się obroną spraw.

Dowody zawrzeć się mające w książce, o której mówimy, czytane będą z tem większem zajęciem, iż władza prokuratorska w Belgii sprzeciwiła się dopuszczeniu kobiety, chociażby posiadającej odnośny dyplom, do karyery adwokackiej.

**Trzęsienie ziemi.** W dniu 19 Sierpnia, roku bieżącego, o godzinie 7 i pół z rana, mieszkańcy Kiszyniewa uczuli dwa dość silne wstrząśnienia ziemi. Nastąpiło to po obfitej w pioruny burzy.

W roku zeszłym również 19-ego Sierpnia, lecz w nocy, było w Kiszyniewie słabe trzęsienie ziemi.

**Próbę nowego sposobu** prania bielizny, z pomocą użycia proszku ługowego zastępującego mydło, dokonywano kilka dni temu w pralni szpitala Ujazdowskiego.

Sposób ten okazał się o tyle lepszym, iż zaoszczędza czas, ponieważ przy nim wszelkie nacierania są zbyteczne, a nadto i koszt jest mniejszy, funt bowiem proszku zastępuje dwanaście funtów mydła.

W szpitalach cywilnych proszek ługowy, jako środek zastępujący mydło, wprowadzony zostanie z nastaniem nowego terminu dostawy materyałów.

W pralniach tutejszych użycie proszku ługowego w ostatnich czasach nadzwyczaj się rozpowszechniło. Na najdelikatniejszych tkaninach nie wywiera on szkodliwego wpływu.

**Pijaństwo w Belgii.** Wiadomo że w Brukselli odbywały się niedawno narady nad smutnym losem robotników i nad wzrostem proletaryatu; utworzono w tym celu osobną komisyę, przed którą powołani zostali dyrektorowie fabryk i wielu robotników.

Wszyscy prawie, tak jedni jak i drudzy oświadczyli, że bieda, którą cierpią robotnicy, pochodzi z nadużycia trunków mocnych. Rzeczywiście nadużycie to w Belgii jest zastraszające.

Wzrost liczby szynków w tym kraju może dać o tem pojęcie. W samej Brukselli w roku 1886 było tam 2,055 szynków; w roku zaś 1887 podniosła się do 3,268, na przedmieściach doszło do cyfry 4,000, co razem wynosi olbrzymią sumę 8,000 szynków w samej Brukselli, to jest, że przypada jeden szynk na pięćdziesięciu mieszkańców. Od roku 1887 liczba tych zakładów musiała się zwiększyć jeszcze o wiele. Niech tylko w jakim domu opróżni się dolne mieszkanie zdatne na sklep, zaraz wynajęte zostaje na szynk lub piwiarnię. Brukselczycy piją przeważnie piwo niemieckie, które tam panuje i jeżeli tak dalej potrwa, za lat dziesięć, jak powiedział pewien humorysta, wszystkie domy w Brukselli będą szynkowniami, których właściciele chodzić będą nawzajem do siebie dla podtrzymania ruchu przemysłowego i handlowego w kraju.

**Przed kilku laty,** jak sobie niewątpliwie czytelnicy przypominają, popełnioną została bardzo znaczna kradzież u jubilera wiedeńskiego Granichstädten'a, której sprawców policya nietylko wiedeńska, ale i europejska wykryć nie zdołała i w końcu zaprzestała zupełnie poszukiwań. Obecnie *Budap. Typlt* otrzymuje korespondencyę z Nowego Yorku od wyższego urzędnika tamtejszej policyi, który donosi, iż sprawa owej wielkiej kradzieży przestała istnieć tylko dla starego świata, a chociaż policya Stanów-Zjednoczonych nie ma ani prawa, ani potrzeby zajmować się kradzieżami popełnionemi w Europie, niemniej nie byłaby najlepszą na kuli ziemskiej, gdyby jej nie obchodziły wszystkie majstersztyki dokonywane w dziedzinie przestępstw. Niedawno umarł w więzieniu nowoyorskiem prawdziwie genialny złodziej, znany policyantom całego świata. Nazwisko jego Henryk Benson, a numer w albumie przestępców 3685. U tego to Benson'a, gdy go aresztowano raz ostatni znaleziono klejnoty, pochodzące niewątpliwie z kradzieży, dokonanej u Granichstädten'a. Przeszłość Benson'a godna jest bohatera romansu. Urodzony w Anglii studyował prawo na uniwersytecie w Oxfordzie, który skończył, ale prowadził takie lekkie życie, iż rodzice wyrzekli się jego. W r. 1870 angielski baronet, bo Benson posiadał ten tytuł, wstąpił jako oficer do armii francuzkiej i otrzymał dwa ordery za waleczność. Po ukończeniu wojny Benson w r. 1874, za różne przestępstwa został skazany w Londynie na kilkoletnie więzienie, z którego postanowił wszakże się wydostać; wszelkie jednak usiłowania ucieczki, wobec bacznej straży, spełzły na niczem. Wówczas w głowie przestępcy dojrzał trudny do pojęcia plan. Pewnej nocy wylał na siebie naftę z lampy i podpalił się. Pośpieszono mu na pomoc i poparzonego strasznie odwieziono do szpitala. Zaledwie Benson powrócił do zdrowia, uciekł i pojechał do Ameryki, gdzie na dobre rozwinął swoją zbrodniczą działalność. Ostatnią jego sztuczką, dzięki której sława jego rozniosła się daleko i szeroko, było głośne oszustwo z biletami na występy Adeliny Patti. Benson wsiadł na pokład tego samego statku, którym jechała artystka, zajął kajutę obok niej podsłuchał cały plan jej podróży, dowiedział się, kto został upoważniony do sprzedawania biletów i był ośm dni przed *divo* w Meksyku. Występując w roli sprzedającego bilety na występy Patti, zdołał zebrać 42,000 dolarów za bilety fałszywe. Sam gubernator zapłacił mu za nie 600 dolarów. Naraz władze powzięły podejrzenie i zażądały, aby impresaryo złożył kaucyę, Benson odpowiedział, iż złoży ją nazajutrz, tymczasem zaś w nocy uciekł, pozostawiwszy w mieszkaniu 4000 dolarów, aby myślano, że powróci. Za wynagrodzeniem 500 dolarów Murzyn, będący w służbie kolejowej, ukrył Benson'a w swojem składanem łóżku, w pociągu towarowym i w ten sposób przestępca dostał się do Nowego-Yorku, gdzie wpadł w ręce sprawiedliwości; zdradził go Murzyn, któremu odmówił żądanych 2,000 dolarów. Osadzony w więzieniu Benson zdołał zeskoczyć z ganku i zabił się. Śledztwo więc w tej zajmującej sprawie nie mogło być ukończone, ale policya nowoyorska ma niezbite dowody, że Benson podczas kradzieży u Granichstädten'a był w Europie i że na krótko przedtem w Brukselli okpił na olbrzymie sumy grupę kapitalistów, przez założenie towarzystwa eksploatacyi elektryczności.

— U mnie zawsze serce na języku — powiada Iks, niefortunny aspirant do rączki młodej wdówki.

— Ah! to zapewne dlatego — odrzekła wdówka — zdawało mi się nieraz, że go pan wcale nie posiada.

* * *

Między koleżankami. Pewna artystka wyszła niedawno zamąż.

— Powiadają, że się ze wszystkiego wyspowiadała przed mężem! — zawołała złośliwie jedna z koleżanek.

— Co za odwaga! — dodała druga, a trzecia zakończyła:

— I jaka pamięć!...

* * *

W „Słowie" znajduje się następujące opowiadanie:

Było to w roku..., ale co to kogo obchodzi w którym, dość że było i basta.

O rączkę prześlicznej panny S., córki jednego ze znaczniejszych obywateli, wolnego jeszcze wówczas miasta Krakowa, starał się pewien młody do wyższych sfer tego miasta należący, tamże zamieszkały p. M.

W tymże samym czasie pan L. warszawianin, serdeczny pana M. przyjaciel, bawiący chwilowo w Krakowie, rozgorzał żywem do panny S. uczuciem, lecz ciążące na nim ważne obowiązki, powołały go do powrotu na stałe miejsce zamieszkania, co tem więcej przykrem dlań było, że nietylko opuszczał przedmiot uwielbień swoich bez żadnej nadziei, ale w dodatku z uczuciem zazdrości ku przyjacielowi z lat dziecinnych.

Po upływie pewnego czasu, doszła do uszu jego pogłoska, że przebywający w Krakowie jakiś bogaty Anglik, zachwycony wdziękami panny S., rozpoczął względem niej kroki matrymonialne.

Na podobną, z wiarogodnego źródła pochodzącą wiadomość, pan L. odsunąwszy na stronę miotające nim ku panu M. uczucie zazdrości, pisze do niego następujący wierszowany liścik, znaleziony w pozostałych po nim notatkach, dotyczący opisanych powyżej stosunków:

„Choć pałam przeciw Tobie gniewem zapalczywym,
Widząc Cię mym rywalem i może szczęśliwym,
Jednak uraz nie pomnę w nagłej dziś potrzebie,
I jak do przyjaciela, przemawiam do Ciebie!
Kiedy już los zawistny tak się na mnie spika,
Że mi prócz Ciebie zsyła jakiegoś Anglika,
Który uroczych wdzięków przejęty zapałem,
Tam chce palić ofiary, gdzie Ty, gdzie ja chciałem,
Krew się w mych żyłach ścina, włos jerzy na głowie,
Ale cóż ztąd?... ja tutaj, a Anglik w Krakowie!
Ty jednak, bliższy świadku, ziemi naszej synu,
Wskaż temu zuchwalcowi drogę do Londynu.
Naucz, szlachcicu polski, angielskie milordy,
Że po Polkę iść trzeba przez miecze i mordy!...
Niech ten Parys umyka, lub niech legnie w grobie,
A co Ty jemu zrobisz, to ja oddam Tobie!..."

O ile mogliśmy dojść ze wzmiankowanych notatek, pan M. skorzystał z treści powyższego listu, tak, że odsadził Anglika i wkrótce został właścicielem drobnej rączki panny S.; autor zaś listu, obietnicy objawionej w ostatnim wierszu nie miał już sposobności dotrzymać.

I tak miłość z humorem, zakończyła się dla pana L. dość smutnie.

---

### RÓŻNE MYŚLI.

Pieniądz jest jak czas, nie trać go a mieć będziesz dosyć. *Levis.*

---

## OD REDAKCYI.

*Przypominamy odnowienie prenumeraty na kwartał czwarty bieżącego roku. Pod ryciną tytułową w każdym numerze znajdują się warunki prenumeraty.*

*Na* ***Przyjaciela Dzieci*** *prenumerata wynosi:*

*W Warszawie kwartalnie rs. 1.*

*Na prowincyi z przesyłką pocztową:*

| | |
|---|---|
| *kwartalnie* | *rs. 1 kop. 25.* |
| *półrocznie* | *rs. 2 kop. 50.* |
| *rocznie* | *rs. 5.* |

*Adres: Do J. K. Gregorowicza, Redaktora „Tygodnika Mód i Powieści" oraz „Przyjaciela Dzieci", w Warszawie ulica Chmielna Nr 26.*

---

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc śpieszniejszego wykonania objawionego żądania.

---

## ZAWIADOMIENIA.



---

### PRZYJACIELA DZIECI

numer 35 wyszedł z druku i zawiera:

Cukier i uprawa trzciny cukrowej. — Nieposłuszna Tosia (wiersz). — Zawcześnie kwiatku, zawcześnie (komedyjka). — Kaczki dzikie (z drzeworytem). — Szkółka elementarna w Niemczech (z drzeworytem). — Dwie siostry. — Dodatek: Zabawa w gaju. — Koczkodan (wiersz z drzeworytem). — Mania płaczka. — Pracowita Zosia (wiersz). — Czyżyk. — Jałmużna (wiersz). — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

---



Дозволено Цензурою, Варшава, 25 Августа 1888 г. **Redaktor J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego**, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

**Dodatek.**